



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

HALINA.

(Fragment z poematu p. t. „Góral“).

Cudny Dunajec,—cudna to rzeka!
Strumieniem z wyżyn na hale ścieka
I wśród gór płynie bystry, szeroki,—
A na dnie jego góry, obłoki
I zielen lasów, i błękit nieba...
Ach, kraju kawał przebieudz by trzeba,
Nimby się drugą rzekę spotkało,
Tak ukochaną, taką wspaniałą...
A na Dunajcu modrej wybrzeży
Góralaska wioska w dolinie leży,
Chat kilkadziesiąt, kościołek cichy,
Przy którym dawniej mieszkały mnichy.
A dziś ksiądz siwy, zgarbiony, stary
Zanosi modły, składa ofiary...
Ale nie kościół i nie ksiądz siwy,
Nawet nie stary baca myśliwy
Z wioski po świecie słyną daleko.
Nie! Za Dunajcem, za bystrą rzeką,
Sąsiednie góry, hale, doliny
Dziwią się wdziękom młodej Haliny,

A więcej, niż te góry i hale
Wdzięki jej wielbią młodzi górale,
Składają o niej śpiewki, piosenki,
Lecz żaden nie śmie prosić jej ręki..

I jest co wielbić! Śliczna Halina
Rok siedemnasty ledwie zaczyna.
Smukła, jak topol, żywa, jak sarna,
Silna, jak góral, jak gejza zwinna,
Robotna w polu, w chacie gościnną...
Jak skrzydło kruka, tak kosa czarna
Nad marmurowem połyska czołem;
Dziewczyna wzrokiem rzuca wesołem,—
W oku jej żary od młodu płoną,
Co żywiej kształtne unoszą łono
I wywołują na twarz rumieniec,
Gdy na nią górski spojrzysz młodzieniec..
To nie rumieniec ów chorobliwy,
Jaki na twarzy widzieć musicie,
Gdy się salonów rumieni dziecię.
Które to czuje, co starzec siwy,
I nic nie pragnie, i nic nie żąda,
Bez czucia martwym okiem spogląda.
O nie! Ten świadczy, że w młodem łonie
Żar uczuć młodych-burzy się, płonie,

Że dziewczę, oprócz cudnej piękności,
Ma ludzkie ciało, i krew, i kości,
I dozę ludzkich pragnień obfita,
Że nie jest lalką, ale kobietą!

Selim

HENRYK PESTALOZZI.

(Dokończenie).

Mimo wszystkiego co ludzkości zarzucić można, mimo wad i braków natury człowieka, ogół umie być sprawiedliwym, umie czeić to, co jest czei godnem i Pestalozzi który był silnie o tem przekonany, doświadczył tego na sobie, gdy próby losu przyszły doświadczać siły jego ducha. Przyjaciel od lat młodych, Fryderyk Iselin, dodał mu odwagi, aby zebrał w jedną całość i wydał w książce wszystko, co drukował w czasopismach rozmaitych o wychowaniu młodzieży i podniesieniu oświaty ludu, a on ujrzał w tem nietylko materyjalną pomoc, ale i zajęcie odrywające myśl od smutnych warunków jego położenia. Książka otrzymała tytuł: „Wieczory samotnika,“ a tak dobrze przyjęta została przez ogół czytający, że jeden z miejscowych księgarzy w Zurychu, Fussli, zgłosił się do niego z żądaniem, aby napisał jakie dzieło obszerniejsze, którego on byłby wydawcą, a które przyniosłoby też jego autorowi nietylko grosz potrzebny, ale uznanie bardzo rozgłośne.

Była to powieść ludowa „Linhard i Gertruda,“ napisana nietylko z talentem krasopisarskim, ale i z myślą szlachetną znaczenia oświaty ludu—zna-

czenia jakie wywiera na człowieka wychowanie, które przecież spoczywa w rękach matki rodziny, jak to rozumnie dowodzi: „Od matki i domu rodzinnego jest zawisłem wychowanie człowieka i z tego to źródła wypływa wszystko, co wśród obszarów życia poić nas może siłą i mądrością. Łączyć się to powinno z materialnego życia czynnikami i ukazywać nam cyfry rachunku potrzebnego tu, aby równoważać między warunkami duchowego i fizycznego istnienia zburzoną nie była!”

Książka jednogłośnie została uznana za dzieło wyższego znaczenia; przełożona na wszystkie niemal języki społeczeństw wykształconych wywarła wpływ na myślicieli, pojmujących czem jest dla istoty ludzkiej wychowanie i austriacki minister oświecenia zaprosił Pestalozziego do Wiednia, aby z jego udziałem obmyślić nowy plan wychowania tak klas społecznych wyższych jak i ludowych, które Pestalozzi nazywał fundamentem oświaty wszelkiego narodu, jak to jest niewątpliwie i do czego też chciał pracowicie przyłożyć rękę. W czasie wojny Francji za Szwajcaryą w 1789 r., i klęsk jakie przyniosła przez wkroczenie do kraju wojsk nieprzyjacielskich, setki dzieci, których domy zostały spalone, rodzice padli ofiarą nieszczęśliwego obrotu rzeczy, zostały sierotami bez dachu, bez opieki i zgłodniałe zebrały chleba, który niezawsze podała im ręka miłosierna, żywiły się też sieroty biedne tem, co surowa natura dać im mogła i serce Pestalozziego zabolalo nad tą nędzą okrutną istot bezsilnych. Francuzi zajęli w mieście Stanz klasztor, z którego zakonnicy uszli przed niemi i Pestalozzi zwrócił się do komenderującego generała z prośbą, aby w części jego pewnej mogły się pomieścić sieroty biedne, a gdy to dozwolonem zostało, zebrał 80 tych sierot, któremi postanowił zaopiekować się tam z pomocą żony, kobiety równie jak i on szlachetnej.

Przecież rzecz nie była łatwą, brakowało nietylko odzienia i jakiej takiej pościeli, brakowało środków wszelkich, potrzebnych człowiekowi do życia podniesionego po nad zwierzę, a żona jego delikatna i słabowita zawsze, nie mogła wśród przejść tych ciężkich stanąć mu do pomocy, ale stara sługa, Magda, jak ją zwano, starała się czynić co można, aby zrujnowane, posępne cele klasztorne stały się jakkolwiek wygodną siedzibą. Pestalozzi nie dał się przecieć ugiąć pod ciężką tą próbą, bo miał przed sobą zadanie, w którym tonął niejako sercem i umysłem; dzieci były nietylko proste i niewłożone do karności, ale wykazały się tu wady różne z tego stanu opuszczenia wypływające, które on pragnął wykorzystać przez oddziaływanie wpływów, podnoszących ducha, a oddany zadaniu temu całą istotą swoją czuł się szczęśliwym, że czynić to może, lecz nagle spotkała go klęska ciężka. Skoro Austriacy zdołali Francuzów z miasta wyrugować, rząd zabrał na własność swoją mury poklasztorne, on więc rozstać się musiał z sierotami, które kochał miłością rodzicielską. Dwadzieścia najmłodszych wziął pod opiekę swoją pleban miejscowy, resztę trzeba było do Lucerny, do domu sierot odesłać, a on choć ciężko zbolalał nie złożył przecie rąk leniwie; został nauczycielem pomocnikiem przy szkole w mieście Burgdorf, lecz trudno mu było nagiąć się do poglądów pedagogicznych, których nie podzielał.

Ale taki jak on człowiek nie mógł zostać zapomnianym. Rząd Szwajcaryi oddał mu starożytny zamek, leżący na wzgórzu po nad miastem, na szkołę która wkrótce stała się zakładem wysoko postawionym w opinii ogółu, a on uczył się teraz szczęśliwym, bo idea którą w umyśle swoim przez lat wiele piastował, miała wejść w życie. Pomocnikiem, którego wziął sobie, był jeden z jego dawnych uczniów, Herman Krüsi, a pracując z nim razem tak pomyślnie i z korzyścią dla uczącej się młodzieży wykładami prowadził, że szkoła zyskała sobie po upływie roku opinią zakładu wysoce pożytecznego i zaliczono ją do instytucji rządowych, a umysły uczniów jej tak umiano rozwijać, że pokazało się, iż jeden z pomiędzy nich, pastuszek z górnych Alp, czytywał dzieła poetów i uczył się ich na pamięć a dodać trzeba, że sam z własnej woli wszedł do jego szkoły słysząc, jak to tam uczyć się można—poznawać to, czem jest świat, czem jest przeznaczenie człowieka...

Obdarzony on był niewątpliwie umysłem wyższym, niemniej jest to zasługą nauczyciela, gdy so-

bie taką opinię zyskać potrafi i staje się magnesem pociągającym szlachetną młodzież do nauki. Ale w 1803 r., zamek Burgdorf został na inny użytek publiczny zajęty, szkołę przeniesiono do starożytnego zamku Yverderdon nad jeziorem Neuburger, a obszerne, wspaniałe piękne komnaty z uroczym widokiem na jezioro, nietylko przyciągały do siebie uczniów, ale przedstawiały warunki higieniczne jakich mało kiedy mogą mieć szkoły. Obok tego niewątpliwą korzyścią było rozbudzone poczucie piękna natury, na co Pestalozzi kładł nacisk silny w pedagogicznych dziełach swoich, a wszystko razem sprawiło, że zgromadzali się w koło niego uczniowie ze wszystkich niemal krajów Europy: z Francji, Włoch, Hiszpanii, Szwajcaryi i naszej krainy, a on umiał tak przemówić do sere i umysłów, że młodzież ta otrzymywała nietylko wiedzę naukową, ale i podniosłe pojęcie celów życia.

W dziele „Jak Gertruda uczyła dzieci,“ rozwijał on pedagogiczne pojęcia swoje, wśród których wykazywał jak nauka wspólna, to jest szkolna, przedstawia warunki wysokiego znaczenia, gdyż umysły udzielają sobie na wzajem przymiotów posiadanych, a zarazem młodzież uczy się tego, co jest rzeczą niezbędną w społeczeństwie ludzkim potrzebną: wyrozumiałości na różnice pojęć i zapatrywań się na życie. Wszystkie jego dzieła od początku do końca miały na celu uszlachetnienie ludzkości przez miłość, przez podniesienie się nad samolubne tylko pożądanie szczęścia na rachunek własny, lecz nagle spotkało go nieszczęście, które wytrąciło mu na długo pióro z ręki. Ukochana towarzyszką jego życia, a często pomocnicą w rozwijaniu pojęć o celach i obowiązkach człowieka, żona jego umarła w 1815 r., a on uczuł się nagle jak gdyby samotnikiem wśród pustyni, lecz przez szlachetne to pojęcie, że praca jest obowiązkiem człowieka dopóki się mu staje, czynnym był do bardzo sędziwego wieku, bo do 80 roku życia, a i wtedy jeszcze nie zubożniał na to, co mogło się przyczynić do postępu ludzkości i zakład swój oddał bezinteresownie dwóm uczniom swoim, których rozum i serce cenił, a sam porzucając miejsce, w którym przez lat tyle pracował, wrócił do Neuhoftu, gdzie przecie nie znalazł już syna swego, kochanego gorąco.

Wnuk otoczył niemniej tkliwą starannością lata jego ostatnie, które przecie nie upływały mu w posępnej bezczynności, bo skreślił dwa tomy pamiętników, zatytułowanych, pierwszy: „Losy mego życia,“ drugi „Mój śpiew łabędzi,“ a od początku do końca czytelnik znajduje tam silną miłość ludzi, silne pojęcie obowiązków człowieka. Ostatni rok jego istnienia przyniósł mu słodką tę radość, że prace jego życia dały ludzkości przykład dobry. W mieście Beuggen wzniesiony został przez szlachetnego filantropa, Zellera, dom przytułku sierot według jego wzoru urządzony, w którym kształcono zarazem młodzieńców do zawodu pedagogicznego, a gdy zaproszony, aby go zwiedził przybył tam, ujrzał ze wzruszeniem dom cały wieńcami zieleni strojny, dzieci zaśpiewały wzruszającą pieśń Goethego: „Jesteś ty z nieba rodem...“ a złotowłose wdzięczne dziewczątka podało mu wieniec z dębowych gałązek upleciony. Wkrótce potem obchodzono bardzo uroczyste osiemdziesięcio dwuletnią rocznicę jego szlachetnie spędzonego życia, które przecie dobiegało już końca; w lutym 1827 r., oczy jego zamknęły się na światło słońca, ale cześć jaką przejęty był cały jego naród, nie uszła wraz z życiem. Pochowanym został według wyrażonego przed śmiercią życzenia na cmentarzu rodzinnym jego wioski Birr, a pomnik który będzie go przypominał narodowi jego wzniesiony został w 1846 r., w stułeczną rocznicę jego urodzin.

M. I.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Od strony Zambrówki płynęła łódka. Księżyc oświecił smukłą postać Dembińskiego, który wiosłował stojąc. U propinatora w Zarzeczcu zachorowało dziecko na gryppę i doktor spieszył tam, po raz drugi dzisiaj przepływając jezioro.

Jasna, pogodna noc tętnęła majestatem cichego spokoju. W powodzi księżycowego światła kąpały się szczyty gór lasem pokryte, wioski rozrzucone w dolinie, szeroka wstęga rzeki i jezioro jakby mgłą srebrną spowite.

Łódka mknęła szybko muskając lekko spokojne fale, Dembiński oczarowany przedziwną harmonią przyrody oddał się marzeniom.

Miłość dla Janiny ogarnęła go, jak płomień ogarnia stos; walka jaką toczył sam z sobą, wzmagala ją...

Czuł wprawdzie że nie jest to łagodne dobroczynne uczucie, które nawet w znękaną duszę wlewa życie świeże, ciepło i siłę, lecz nie mniej stał się jego niewolnikiem.

Jak on złorzeczył tym szkodliwym wpływom, które skazyły tę bogatą naturę, spaczyły wyobrażenia.

Serce tklawe, lecz umysł się błaka... pomyślał, i śliczna dziewczyna odbiła mu się w pamięci taką, jaką dziś wieczorem widział ją po raz pierwszy: dobrą, słodką, tulącą się do matki w rozżaleniu żalonym i powtarzającą ze łzą w oku: „Biedny Oleś! biedne małe chłopię!”

W tem, na zalanym księżycowym światłem wybrzeżu, dziwne ujrzal zjawisko.

Między drzewami ogołocionymi już z liści przemylała się biała postać, a za nią biegła druga, wydając dzikie okrzyki.

Co to jest? Dwa cienie, dwa duchy uganiające się nad brzegiem jeziora o tej godzinie wydały mu się czemś nadprzyrodzonym.

Pod drżącym światłem księżyca cała ta scena miała taki fantastyczny pozór, że mimowoli uniosły go myśli zabobonne, romantyczne, dopóki uczucie niepojętej trwogi nie przykuło do tego widoku szeroko rozwartych jego źrenic.

Pochwylił energicznie wiosło... Przeczucie nieszczęścia zaczęło owładać jego umysłem, niepokój sercem.

Łódka pomknęła szybko, tajemnicza strona niezwykłego widowiska ustąpiła miejsca okropnej rzeczywistości.

Widzi już coraz wyraźniej ciemne warkocze spadające na plecy i wysmukłą postać wymykającą się od dotknięcia wyciągniętych ku niej ramion widma, bo szkieletu tego, o nadmierne chudych, sterczących kościach i włosom zarosłej twarzy, niepodobna prawie do istot żyjących zaliczyć.

Oko Dembińskiego zniuruchomiało nagle. W jednej chwili pojał wszystko. Ten szalencie nieszczęśliwy, to eks poeta, były kasyer z cukrowni Zambrowskiej. Dembiński od dość dawna czynił starania aby go w zakładzie dla obłąkanych pomieścić, że jednak ubogim był i bez rodziny którąby za niego szpital opłacała, rzecz całą szła opornie. Tymczasem potrafił widocznie omylić czujność służących i wymknąć się niepostrzeżenie z celi, którą przy szpitalu zajmował.

Łódź wpłynęła między kępy złocistych lilii i traw wodnych, które w gęstą masę splecione, szybszy bieg tamowały.

Krzyk żalony rozdarł powietrze. Ile w nim mięściło się trwogi, beznadziejnej rozpacz, ile bólu!

Towarzyszył mu śmiech dziki, rozgłośny, powtórzony przez echo, biegnący po fali wraz z tamtym, który krew zmroził w żyłach Dembińskiego.

Poznał głos Janiny, dostrzegł blade jej lica zgrożą napiętnowane.

welistycznych Mirona. Drukowały je głównie „Kłósy” i „Przegląd tygodniowy.”

Szalona fantazyja, zapal przelatany sarkazmem, wybuchy rozwichrzonych namiętności, zrodzonych z krwi gorącej, niemożliwości przedstawione w sposób prawdopodobny, rzeczy niepochwytne odmaltowane plastycznie, wszystko zaś owiane mocną, odurzającą wonią narkotyku poetycznego—oto główne szkielety tych znamiona.

Analiza drobnostkowa wykrywa w tych obrazach reminiscencje z powieści fantastycznych Hoffmana i „Nocy Florenckich” Heinego; na mieszaninie tej jednak odcisnięte jest bardzo wyraźnie oryginalne znamie Mirona, poety „warszawskiego.”

W roczniku „Kłósów” z roku 1866 odnalazłem jeden z tych obrazków, pod tytułem; „Antykwaryusz, szkic do powieści.” *Za motto służy mi następujący nierymowy czterowiec:*

Kiedy ślad zniknie nawet mogiły,
Kości rozwieją wichry i burze,
Zostaje potem, czasem na wieki,
Czasem na krótko... wspomnienie.

(Z Księgi pamiątek A. M.)

Wspomnienie pozostałe po „panu Sylwestrze,” bohaterze szkicu, należało do wspomnień krótkich. Byłoby zaś może ze śmiercią „antykwaryusza” utonęło w morzu niepamięci, gdyby go był ztamtąd nie wydobył i do swego „archiwum pamiątek” nie zamknął poeta.

Pan Sylwester był antykwaryuszem nie w znaczeniu handlarza starożytności lecz w znaczeniu namiętnego ich zbieracza. Autor tak go opisuje;

„W epoce, w której zaczyna się nasze opowiadanie, pan Sylwester miał już lat sześćdziesiąt pięć, był wzrostu wysokiego, cery papieru używanego do owijania szarego mydła, oczów kota polującego na wróble i nosa długiego co najmniej na półpięta cala. Historia jego przeszłości była dla wszystkich tak tajemnicza, jak historia maski stalowej. Wiedzano tylko, że od lat niepamiętnych mieszkał pod Nr. 51 (na Starem mieście), że regularnie płacił komorne, że jeszcze regularniej wychodził rano i przed wieczorem z domu, i że miał do posług nietatowego lecz na dyetach famulusa, którego nazywał: *homo*.”

Mieszkanie antykwaryusza, było zapełnione starami zbrojami, księgami, urnami, obrazami bez ram, ramami bez obrazów i t. p. Cały ten ementarz przeszłości przysypywał grubo kurz, szanowany a przeto nigdy nie tykany, zarówno przez gospodarza jak i jego sługę.

Owego poranka, który był porankiem majowym, „promień słoneczny, przedarłszy się przez przepalone i zakurzone szyby padł, jak pocałunek anioła, na głowę antykwaryusza, owiniętą w czarną jedwabną szlafmycę a spoczywającą na skórzanej, nieokreślonego koloru, poduszce.”

Pan Sylwester napół przebudzony począł monologować w sposób następujący:

— Ha! dobrze! Daj więc ten sztylecik Borgii, co leży na biurku po Staszicu, obok kałamarza Bacciarrellego! Utoczę sobie krwi z serdecznego palca, podpiszę cyrograf, i — masz, bierz duszę jak swoją! Ale przysięgnij mi przedtem, że to *unikat*, że to nie edycja z roku 1473 drukowana w Wenecyi, ale wcześniejsza. Przysięgnij, że to te same *Rime* Petrarcki, o których marzę i których szukam od lat trzydziestu. Przysięgnij mi szatanie, na...

— Na bułki i mleko! — przerywa w tem miejscu mistrzowi swemu famulus, przybывая po pieniądzu na ranny posiłek.

Sennego antykwaryusza otrzeźwił trywjalny wykrzyknik służki. Okazało się, że monolog był wynikiem snu, jaki pana Sylwestra dręczył nad ranem. W tym śnie, „po falach ciemności, na rozhułkanym, jak noc czarnym, koniu, który z nozdrzy ciskał płomienie a z pod kopyt iskry, leciał w żelaznej koronie szatan.” Szatan ofiarowywał śpiącemu upragnioną przezeń edycję *Rime di Petrarca*, ale w zamian domagał się cyrografu na duszę...

Gdy starzec począł przy jasnym dniu marzenie swe rozpamiętywać, wydawało mu się dziwnem i jakby ostrzegawczem. Przeżegnał się, powiódł wzrokiem dokoła i posmutniał.

— Ha! może to już czas!... — szepnął, boleśnie się zamyślając.

Potem chciał otrząsnąć się z przygnębiającego uczucia, ze starej etruskiej amfory napił się trochę wody i jął skarby swoje przeglądać.

Ale zrobiło mu się słabo.

— Złel oj złel! — jęknął. Coś w piersi wlało, brak techn! Zostanę w domu; trzeba wziąć Reformackich pigułek...

A potem jeszcze:

— Trzeba zrobić porządek, uszykować bruliony mego przekładu Danta—zacząć pisać komentarze...

W tem miejscu czytelnik dowiaduje się niespodzianie, że „antykwaryusz” nie jest wyłącznie zbieraczem starych rupieci: to również poeta, ale poeta-archeolog, rozmiłowany jedynie w starych mistrzach i w starych natchnieniach.

Od dwudziestu pięciu lat mozolił się nad przełożeniem tercju „Boskiej komedyj” na język polski. Przytem przygotowywał się do pisania komentarzy, zgoła innych, niż te, jakie pozostawili oschli scholastyki i nadziani zimną erudycją filologowie.

Ten pan Sylwester, którego sąsiedzi przewali „Szpargałem,” i o którym książka meldunkowa nie miała do powiedzenia nic więcej nad to że „utrzymuje się z własnych funduszów,” w pergaminowym futerale swego ciała ukrywał duszę poetyczną, lotną i marzycielską...

Długie dni i noce spędzał on z piórem w ręce w swym „gotyckim” fotelu, w pocie czoła pracując nad tem aby wiersze przekładu „płonęły świetnością i dzwoniły melodyą italskiej mowy.”

Był to entuzjasta z gorącym sercem i myślą chętnie odrywającą się od ziemskiego padofu. Gdy do- bywszy z szafy zakurzonej swój rękopis, przytulił go miłośnie do piersi, z ust wyrwała mu się taka, wysoko nastrojona, apostrofa:

— Tam, za krawcami mogiły, tam w sferach wieczności, ja wierzę, wierzę jak w prawdę objawioną, że ciebie ujrzę, mój Alighieri! że tam u nóg twych złożę dzieje całe duszy mojej, co przeszła na kłębkach przez olbrzymi cykl twego arcydzieła...

Ale tu chwyciły go bóle silniejsze — zakaszał się konwulsyjnie i „krople czarnej krwi padły na szyby i futrynę okna.” Starzec upadł na krzesło i trzęsąc się w napadzie silnej, nerwowej gorączki, jął szeptać:

— Trzeba się spieszyć... trzeba te kartki pocyfrować i pozszywać... Gdzie pióro?... W oczach mi się mieni... Jest!

„Wtem, wzięwszy w ręce pióro i rozwinawszy rękopis, jakby trup zgalwanizowany, powstał, jęknął: — Piekło! ha! piekło! — i upadł na podłogę, a z ręki, pogryzione przez myszy szmaty papieru rozsypały się na niego i na podłogę izby...”

To jest *finale* sentymentalne, w przeciętnym stylu dzisiejszych majstrów nowelistyki; ale Miron dorzuca doń jeszcze rys jeden w stylu własnym.

Oto, gdy już trup starego poety leżał w śmiertelnej sztywności na podłodze, wbiega *homo* z takim okrzykiem tragicznym:

— Proszę mistrza! już niema mleka, tylko bułki. Tak wszystko rozerwali że aż strach!...

Jak widzimy, w szkicu tym odmaltowały się wszystkie właściwości Mirona: bujna fantazyja, niepokój ducha, nerwowe rzyty myśli, zamiłowanie barw jaskrawych i—sarkazm.

Ponieważ każdą z tych właściwości posiada wcześniejszy chronologicznie Heine, nie dziwnego że nazwano poetę „Heinistą.” Nazwa ta jednak, obniżająca wartość pisarza, powinna być cofnięta. Chcąc być sprawiedliwym, i chcąc być ścisłym, należy sprawę owego podobieństwa tak sformułować:

Miron nie przez chęć naśladownictwa był podobny do Heinego, lecz naśladował go bezwiednie, gdyż był doń podobny z poetyckiego temperamentu.

Szkiców w rodzaju „Antykwaryusza” napisał Miron zaledwie kilka. Prócz nich odmaltował barwnie, rykami energicznymi, kilkunastu współczesnych sobie literatów, dziennikarzy i aktorów. Te portrety wykonane zostały w rodzaju chętnie uprawianym dziś przez francuzów, a i u nas od pewnego czasu w modę wchodzącym: znakomitości przedstawione w nich są bez aureoli, z ich ludzką, powszednią fizjognomią, z ich ludzkimi powszednimi słabościami.

Jednak nie można tych wizerunków utożsamiać z naturalistycznymi fotografiami, jakie pokazują nam dziś na kartkach dzienników specjalny rodzaj ludzi zwanych *interviewistami*. Naturalizm Mirona

jest naturalizmem Hoffmana, który wyprowadzał wprawdzie na scenę koty i pchły, ale kazał im dokonywać dzieł, o jakich naturalnym pchłom i kotom ani się śniło.

Najznaczniejsza ilość prozy wypłynęła z pod pióra naszego poety w formie krótkich artykułów i artykułików dziennikarskich. Zamieszczał je niemal wyłącznie „Kurier Warszawski”, którego Miron był współredaktorem i współwłaścicielem.

Praca w „Kurjerze” dla talentu poety stała się zabójczą. Fatalny to był w jego życiu poranek, w którym s. p. Zabłocka, właścicielka „Kurjera Warszawskiego,” a sąsiadka młodych państwa Michaux, przybyła do nich w odwiedzin, proponując pocię aby wziął na swe barki i podźwignął upadające pióro...

— Oleś wziął „Kurjera” — opowiadała mi osoba rzeczy tych najbliższa — i zdawało nam się, że to będzie dobrze. Po obiedzie, tegoż dnia w jaknajlepszym usposobieniu wyszedł do Lourse’a na czarną kawę, i pod filarami teatralnymi spotkał wypadkiem Wacka (Wacława Szymanowskiego). Zaledwie mu rzecz tę opowiedział, nadszedł z przeciwnej strony Gustaw Gebethner, i razem wstąpili do cukierni. Tam na poczekaniu zawiązała się spółka, poczem wszyscy trzej udali się do Wolffa aby spisać przedwstępne warunki umowy...

Czyż można wierzyć w przecucia wobec owego „zdawało nam się, że będzie dobrze”? Było dobrze—ale tylko „Kurierowi” i wspólnikom poety, jego zaś talent podcięty został w owym dniu przy samym korzeniu.

O tem jednak mówi się tu tylko nawiasowo.

Miron pisywał w „Kurjerze warszawskim” wszystko, czego odeń zażądano. A żądano wiele, gdyż ogniste pióro poety umiało elektryzować pismo i czytelników, jednajac prenumeratę i kładąc fundament przyszłego powodzenia.

Ówczesna „cała Warszawa” z biciem serca czekała codziennie na ukazanie się odmłodzonego „Kurjera,” dorwawszy się zaś do mokrego jeszcze numeru szukała w nim przedewszystkiem artykułów, podznaczonych literami; *m.*, (*m.*), lub *x.*

Przyrównywał ktoś w owym czasie „Kurier” do plaacka, w którym artykuły Mirona odgrywały rolę—rodzynków. Gdy rodzynki łakomie wyskubano, częstokroć placek szedł na strawnę myszy, albo czerstwił nie tykany przez nikogo...

Miron, jak rzekłem, pisywał wszystko, nawet drobiazgi potoczne, które umiał zawsze ożywić dowcipem i zabarwić poezją. Ale głównymi rubrykami, stale przezeń opracowanemi było sprawozdanie artystyczne i teatralne.

Takich sprawozdań nigdy już potem prasa warszawska nie miewała. Ukazywały się i ukazują głębsze od nich, z większą erudycją i z większym krytycyzmem pisywane—ale tej werwy, która umiała otrzymane wrażenie błyskawicznie utrwać i „na gorąco” innym podawać, napróżno szuka się dziś w dziennikach.

Werwa ta była, niestety, zbyt ognista, jak zbyt różowemi są rumieńce suchotników. Talent poety płonął jaskrawym płomieniem, szybko się wypalał.

Około roku 1875 wystąpiły pierwsze objawy choroby nerwowej, która miała trwać całe lat dwadzieścia! Nieustraszone prawo atawizmu działało. Poeta bronił się wycieczkami za granicę, studjami artystycznymi, nawet zamknięciem się dobrowolnem w kamedulskiej celi na Bielanach — nie to jednak nie pomogło.

Poezja, życie gorączkowe, nadmiar silnych wrażeń, były dolewana do ognia trawiącego oliwą. Dla chorego nie było ratunku; wielka tylko odporność organizmu i umysł wyjątkowo silny, który do ostatniej chwili całkowicie zamroczyć się nie dał, odsuwały do najdalszej mety nieuchronną katastrofę.

Miron i podczas choroby rymował. Był to *poeta natus*, i niezem innym jak poetą być nie umiał. Te jego przedśmiertne poezye, których stos cały z wielkiem ścisnieniem serca przeglądałem, podobne są do melodyj pięknych, ale wygrywanych na fortepianie z porwanemi strunami...

Nareszcie w dniu 20 kwietnia 1895 r., o godzinie 4 rano, do samotni przy ulicy Chłodnej, gdzie Miron ostatnie lata życia przepędzał, zapukała tak długo

wyglądana i tak szczerze upragnicna „odźwierna wieczności...”

Przybywała ona tak właśnie jak poeta marzył: „w koronie z róż kwitnących i w płaszczu powiewnym, aby usnąć go hymnem srebrzystym i rzewnym, który w chwili rozstania z życiem nie rozłzawia...”

Miron umarł bez cierpień i bez konania.

Ostatnie jego słowo było:

— Spać!...

Wiktor Gomulicki.

Biegun południowy.

Jest faktem również znanym jak godnym pożałowania, że rezultaty z podróży odbywanych w okolicy bieguna południowego w małej tylko liczbie ludzi wzbudza rzeczywisty interes.

Zupełnie inaczej się dzieje z biegunem północnym. Eskimosy z swoimi sankami, z ogromnymi śniegowymi i lodowymi polami z całym światem zwierzęcym tak lądowym jak morskim, są przez każdego wykształconego człowieka tak dobrze znane, jak gdyby połowę swego życia spędził w podbiegunowych krajach.

Zachodzi pytanie, dlaczego podbiegunowe kraje południowej półkuli tak mało są znane. Brak jest popularnego szkicu odkryć, któryby w zaciekawiającej, zajmującej formie wypadki niezmordowanych badaczy wypowiedział, nie nosząc na sobie zbyt uciążliwych dowodzeń. Dotąd bowiem spotykamy jedynie opisy tego przedmiotu w fachowych wydawnictwach, znajdujących się na biurkach specjalistów, ale niedostępnych dla szerszego koła czytelników.

Wszystko to, co mieszczą w sobie prace, dotyczące bieguna południowego, jest mało obrazowe i tak jednostronne, iż niepodobna na ich podstawie wyrobić w sobie pojęcia o istotnej prawdzie: czytelnik ztąd nie wynosi żadnej korzyści umysłowej i nie rozszerza widnokręgu swoich wiadomości w tym kierunku. A przecież losy podróżnika, którzy tam na dalekie południe z odwagą kroczą, są tak ciekawe, iż zasługują na obrobienie dokładne choćby ze względu na młodych czytelników; nie jestto jednak sprawą łatwą, gdyż trzeba rzecz całą układać z odrębnych części; rozproszonych na kartach literatury podróżniczej, dotąd niezbranych w jednolitą całość.

Kwestję zaludnienia okolic bieguna południowego musimy odłożyć do późniejszych poszukiwań; nadmienić się jednak godzi, że w razie napotkania tu jakiegokolwiek rasy, możnaby pierwszego mieszkańca uważać za przedstawiciela cywilizacji.

Stwierdzić należy, iż, jak to słusznie zaznacza dr. A. Petermann, nadchodzi pora zajęcia się biegunem południowym, na który wkrótce niewątpliwie przyjdzie również moda. Byle tylko owa moda nie minęła w geografii tak szybko, jak w ubraniu, co już miało miejsce raz przed pięćdziesięciu laty.

Podróżnicy, udający się do bieguna południowego, badali przedewszystkiem kwestję, czy okolice podbiegunowe składają się z jednego ładu stałego, czy z mnóstwa wysp większych lub mniejszych; badania te najlepiej dokonywają się latem, t. j. w grudniu według naszego kalendarza. Pora ta odpowiada pod biegunem południowym naszemu czerwcowi i doprowadziła już na ślady możliwości ładu stałego. Punktem wyjścia do tych wypraw odległych są krańce wysp Oceanii, z kąd podróżnicy puszczają się po przez olbrzymie pola lodów, obejmujących tysiące mil kwadratowych przestrzeni. Piętrzą się te potężne gmachy lodowe wysoko, tamując drogę, — i byłoby nie do przebycia, gdyby latem prądy wód ogrzanych nie roztopiały częściowo tych złomów i brył, błyszczących jak kryształ, i nie pozwalały przyrzeć bliżej w łono tej w białą szatę okrytej przyrody. Biada okrętowi, który nie zdąży z zamarzającą tej doliny wód wycofać się w porę; i wtedy lody biorą go w swój zimny uścisk, śmierć niechybnie przynosząc; w boki statku zaczynają uderzać wały lodowe, zanim się wzniosą dokoła: okręt trzeszczy, ugina się, walczy, lecz

wkrótce ulega i najczęściej ginie pod gęstną powierzchnią oceanu.

Góry lodowe piętrzą się niekiedy do 100 lub 120 metrów. Na północy spotyka się je dopiero w bardzo daleko posuniętych krańcach, na południu znajdują się one już stosunkowo niedaleko. Góry lodowe leżą w prostej linii od południowej Afryki i Australii. Przedostawszy się przez te góry, można posuwać się naprzód w nadziei dość uzasadnionej, że się dotrze do bieguna południowego.

Czy biegun ten otaczają wody, czy ziemia, jest dotąd rzeczą nierozstrzygniętą. Jedni przypuszczają, iż pod biegunem znajduje się ląd, który warto odkryć; inni są zdania, że się tam znajdują wyspy. Temperatura bardzo niska naprowadza na domysł, że tam niema wielkich przestrzeni lądowych. Rozwiązanie tej zagadki wszakże należy do przyszłości.

Jeżeli się rzuci okiem z masztu na dolinę lodową, tu i owdzie rozpoznąć można czarny wierzchołek krateru z kąd się wydobywają gęste kłęby dymu.

Skoro pod działaniem promieni słońca góry lodowe porozpadają się w morze, okręt musi ostrożnie posuwać się wśród fal, przepelnionych odłamkami lodowymi, gdyż każde silniejsze uderzenie zgubę przynieść może. Często tam panujące mgły i śnieżyce zwiększają jeszcze niebezpieczeństwo i co chwila podróżnikom grozi śmierć.

Jak wzrok sięga, nigdzie nie spotyka się zieloności — nie, cohy monotonię białości urozmaiciło.

Martwe nieruchome śnieżno-lodowe widoki tamtejszej przyrody napełniają serce żeglarzy przejmującym do głębi wzruszeniem...

Zaznaczyć trzeba, iż okolice podbiegunowe na południu są pochodzenia wulkanicznego, a wulkany niektóre wnoszą się na 3,770 metrów, inne wzgórza mają wysokości 2,000 metrów.

Śladów człowieka lub mieszkań ludzkich nie udało się dotąd spostrzedz nigdzie w tej dziedzinie; wątpliwą też jest rzeczą wogóle, czy kiedykolwiek na nie się natrafi. Wyspy podbiegunowe odznaczają się ustawicznie klimatem morskim i nie posiadają stałej temperatury. Nie jest tam bezwzględnie zimno, lecz i ciepła nigdy niema, człowiek zaś, jak roślina, nie może się obyć bez ciepła choćby przez krótki czas trwającego.

Za to w wodzie żyje mnóstwo małych rybek, których miliony zaludniają głębokości niezgłębione oceanu. Takiej liczby i różnorodności okazów napróżno by szukać na północy.

Wielka moc jest tam również ptactwa, w pośród których pierwsze miejsce zajmują mewy, jaskółki morskie etc. Ptaki te w olbrzymich masach spoczywają na szczytach gór podbiegunowych, a kiedy wleczą po nad okręt, wyglądają, jak chmura, i cień rzucają. Dzikie kaczki służą do pożywienia: wyborne z nich przyrządzają żeglarze piecyste. Ciekawym ptakiem jest także gęś podbiegunowa bardzo tłusta, posiadająca doskonałe pierze. Inne ptaki zwykle znów siedzą gromadą, gotowe do stoczenia walki z nieprzyjacielem.

Długo przypuszczano, że Australia jest częścią owej ziemi, która leży pod biegunem południowym. Dopiero od 1642 zaczęto uważać okolice podbiegunowe za samodzielne przestrzenie. W r. 1772 Cook odkrył tak zwaną wyspę księcia Edwarda; następnie zaś posunął znajomość tych stron w d. 30 stycznia 1764, aż do 71 stop. 10 minut szerokości południowej. W notatkach swoich podróżnik ten zapisał, co następuje:

„Niebezpieczeństwo przedzierania się pomiędzy temi górami lodowemi, w poszukiwaniu nieokreślonych wskazówek życia roślinnego lub ziemi, jest tak wielkie, że zapewne nikt się już nie posunie dalej.“ Brzmi to wcale niepocieszająco.

Przez lat 50 świat się zadawał odkryciami Cook'a. W r. 1819 zorganizowano nową wyprawę do bieguna południowego. Na czele wyprawy stał Bellinghausen, który dotarł do 69 stop. 25 min. szerokości d. 2 lutego 1820 r. W r. 1821 odkrył wyspy Aleksandra I i Piotra I. Opis tej podróży wyszedł w języku rosyjskim — i spowodował dalsze zajęcia się przedmiotem. W r. 1819 Smith odkrył południową Szkocję; dalsze zaś poszukiwania były przedsiębrane w latach: 1823, 1831, 1832 z pomyślnymi wynikami.

W r. 1839 angielski podróżnik Enderby dotarł do 66 stop. 44 min. szerokości południowej, gdzie zaobserwował dwa wulkany, które wyrzucały kamienie, zebrane przez podróżnika. W 1840 r. osiągnięto 66 stop. szerokości.

Najgłośniejsze imię zdobył w tej mierze admirał angielski James Clark Ross.

Zawód podróżniczy rozpoczął w 1818 r.; mając lat 18 odbył wyprawę do bieguna północnego. W 1842 r., na południu odkrył najwyższą górę, mającą wysokości 4,500 metr. Jego badania meteorologiczne i fizyczne posiadają wielką doniosłość naukową. James Ross odznaczał się zimną krwią, śmierci patrzył odważnie oko w oko, nieustraszony, choć go niejednokrotnie otaczały lodowe złomy.

W ciągu XIX stulecia wielu innych podróżników próbowało w tym kierunku szczęścia. Obecnie dr. Fr. M. Cook pragnie urządzać wyprawę do bieguna południowego na lat trzy; koszty obliczono na 500,000 dolarów.

W roku zeszłym norwegijski kapitan Larsen na statku „Joson“ zdołał odkryć nową ziemię, nazwaną krajem króla Oskara II. Larsen znalazł na wysokości 300 stóp, na jednej z wysp, skamieniałe drzewa z korzeniami, dobrze zachowane.

Wyżej wspomniany dr. Cook w New - Yorku, na posiedzeniu geograficznego towarzystwa między innymi wypowiedział te słowa:

„Nie zdaje mi się niepodobnym istnienie pod biegunem południowym ludzi, którzy prawdopodobnie zajmują się połowem ryb i eksploatują faunę morską, bo umysł człowieka z każdej okoliczności potrafi wyjść zwycięzko i zapanować nad otoczeniem.“

Tak więc pod koniec naszego wieku nadzieja przyświeca niezmiernym poszukiwaczom, iż na biegunem południowym nie tylko znajdą objawy życia w ogóle, ale że napotkają tam ludzi!

Per aspera ad astra!

Ad. D.

Działalność Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych.

Z dniem 3 Marca r. b. skończyło się XXV lecie istnienia Towarzystwa Osad rolnych; myśl założenia, którego powziął ś. p. Józef Wieczorkowski wspólnie z ks. Tadeuszem Lubomirskim około r. 1870.

Początkowa działalność Towarzystwa, zmierzająca do gromadzenia funduszy, tudzież do przeświadczenia szerokiej kół publiczności o potrzebie i użyteczności rozciągnięcia opieki nad nieletnimi przestępcami, dziećmi opuszczonymi i zaniedbanymi. Pierwszym prezesem komitetu został ś. p. dr. Józef Mianowski, a vice-prezesem ś. p. Józef Wieczorkowski, który, z powodu nieobecności J. Mianowskiego w kraju, faktycznie był od początku naczelnym kierownikiem nowozawiązanej instytucji, a od r. 1874, prezesem komitetu i sprawował tę godność do r. 1882, w którym zrezygnował z niej z powodu podeszłego wieku i nadwątlonego zdrowia. Prezesem komitetu został wówczas p. Feliks Sobański, a w cztery lata później, po rezygnacji tegoż, komitet powołał do tej godności p. Ludwika Górskiego, który ją podotąd sprawuje.

Wice-prezesami komitetu byli kolejno: ś. p. Józef Wieczorkowski, Feliks Sobański, ś. p. Edward Stummer (od r. 1881—1895) i wreszcie ks. Mieczysław Woroniecki, zajmujący to stanowisko w chwili obecnej.

Już w pierwszych chwilach działalności Towarzystwa podjęto starania celem utworzenia osad poprawczych i wyjednania od skarbu 117 morgów młodszego lasu pod nazwą „Osady Studzienieckiej“, przeznaczonej na założenie osady poprawczej dla skazanych sądowo nieletnich przestępców w płci męskiej. Przystąpiono tedy do wzniesienia odpowiednich budowli, a zarazem do wypracowania Ustawy. Tym sposobem rok jest nie tylko XXV leciem istnienia

Towarzystwa osad rolnych, lecz zarazem XX leciem istnienia osady Studzienieckiej.

Otwarta w r. 1876, osada Studzieniecka zaludniała się powoli, a pierwszy wychowanec skazany został do niej dopiero w pięć miesięcy po jej otwarciu. 1-go stycznia 1877 r. Studzieniec liczył 5 wychowanców. Na 1878 r. zostało 50, na 1879—86, na r. 1880—103, na r. 1881—115, na r. 1882—118, na r. 1883—132, na r. 1884—123, na r. 1885—135, na r. 1886—154, na r. 1887—143, na r. 1888—147, na r. 1889—151, na r. 1890—135, na r. 1891—150, na r. 1892—155, na r. 1893—160, na r. 1894—161, na r. 1895—165, na r. 1896—161.

W r. 1878 wybudowany został kościół osady pod wezwaniem patrona młodzieży św. Stanisława Kostki, z fundacyi Ludwika i Pauliny małżonków Górskich.

Wychowañcy Studzienia przechodzą kurs szkoły elementarnej i współcześnie zajmują się pracą bądź w zakresie gospodarstwa rolnego, lesnictwa i chmielarstwa oraz ogrodnictwa, bądź też w warsztatach: stolarskim, tokarskim, szewckim, kołodziejskim i stelmachskim, ciesielskim, kowalskim, ślusarskim, i krawieckim.

W miarę rozwoju osady rozszerzało się w niej gospodarstwo rolne i powiększała się liczba warsztatów, w których chłopcy, pod kierunkiem wykwalifikowanych majstrów, uczą się rzemiosł odpowiednio do swego upodobania i zdolności.

Podczas dwudziestoletniego swojego istnienia Studzieniec wychował 890 nieletnich. Uwalniano ich w sposób rozmaity. Dawniej nieletnich przestępców skazywano na termin w wyroku określony. Termin ów, co do małoletnich, którzy przez dobre prowadzenie się swoje zasłużyli na złagodzenie losu, mógł być skrócony o $\frac{1}{3}$, z zastrzeżeniem, że w razie złego prowadzenia się na wolności, wychowanec aż do upływu terminu wyrokiem określonego, mógł być ściągnięty na powrót do przytułku. Przepisy te zmieniono d. 20 maja 1892 r., które to prawo rozszerzyło zakres wypadków, pozwalających sądowi oddać nieletnich do zakładów poprawczych, a zarazem zniosło oddanie ich do tych zakładów na termin oznaczony, pozostawiając oznaczenie terminu zatrzymania nieletnich w przytułkach uznaniu Zarządów, byleby trwał nie krócej jak rok, a nie dłużej jak do czasu dojścia wychowanca do lat 18; nieletni nie mający lat 18 o ileby po uwolnieniu z przytułku źle się prowadził, ma być ponownie do przytułku cofnięty. Przepisy powyższe znakomicie ułatwiły wpływ moralny zwierzchników zakładu na wychowanców.

W miarę rozwoju Towarzystwa osad rolnych ma rozciągnąć swą opiekę i nad dziewczętami i to nie tylko skazanymi sądowo lecz i nad moralnie zaniedbanymi sierotami bez opieki. D. 11 (23) stycznia 1890 r. zatwierdzoną została ustawa zakładu poprawczego dla dziewcząt, a w r. 1891 nadano Towarzystwu dwie osady z lasów rządowych Nową-Hutę dla rozszerzenia gospodarstwa Studzienieckiego i Puszcę o kilka wiorst od Studzienia, pod zakład dla dziewcząt. Kuratorką przytułku jest p. M. Górńska z Woli Pękoszewskiej. Pierwszą przełożoną była p. Natalia Grzesiewicz, od 1 listopada 1891 r. p. Marya Kościńska.

Etat zakładu został obliczony na razie na 12 wychowanek, lecz prawie ciągle jest ich 16. Ustawa zakładu, jako cyfrę normalną, wskazuje 50 dziewcząt. Władze Towarzystwa troszczą się też o rozszerzenie tymczasowego zakładu i pragnęłyby swój rok jubileuszowy upamiętnić wzniesieniem właściwego domu zakładowego, na który plan i większość materyałów są już gotowe, lecz nie zebrano jeszcze dostatecznego na ten cel funduszu. Wychowanki Puszczy przygotowują się na gospodynie wiejskie i służące; przechodzą zatem kurs szkoły elementarnej i uczą się gospodarstwa domowego wiejskiego, a więc są zajęte posługą domową, przy kuchni, wypiekaniem chleba, praniem; grubszymi robotami kobiecimi, ogrodnictwem, chowem bydła, trzody i drobiu, gospodarstwem mlecznym, i t. p. Dotąd (rok bieżący jest piątym rokiem istnienia). Puszcza przyjęła 19 wychowanek, z których jedną, jako kalekę umieszczono w zakładzie nieuleczalnych, dwie zaś uwolniono warunkowo i umieszczono jako pra-

cownice w gospodarstwie rolnem; jedna z tych dwóch wyszła już za mąż.

Kronika działalności kobiecej.

— Ministerjum rolnictwa, zamierza otworzyć w Petersburgu kurs nauki gospodarstwa kobiecego o dwóch oddziałach; ogrodnictwo pomieszczonem tu będzie w szczególności względem zaprowadzenia sadów owocowych.

— Warszawska wystawa nasion i przedmiotów gospodarzeży liczy bardzo mało wystawczyń. Marya Gąsowska z Domasznicy wystawiła trawy pastewne, Marya Składowska ze Stawiczyc buraki. W dziale produktów nabiałowych Marya Gąsowska masło, Marya Ciszewska z Chobędza ser i masło. W dziale przemysłu rolniczo fabrycznego Gąsowska mąkę żytnią. Dział nasion brany ogólnie przedstawia się jakościowo dobrze, ale ilościowo ubogim jest bardzo; kobiety zwłaszcza nie zachęcały wzięść tu takiego udziału, jak należało ze względu na uwypaczenie stanu ich gospodarstwa.

— Uskarżanie się na brak pracy jest wśród społeczeństwa naszego powierzchownem. Kantor komisowy przy ulicy Niecałej wie o tem aż nadto, bo w okresie dwumiesięcznym było ze strony pracodawców 2,227 zadań, a można było uczynić zadosyć 1,042 tylko. Posady kobiet wakuja przecież licznie w rozmaitych fachach i jest tu brak 126 nauczycielek z wykształceniem wyższem, 180 bon, 32 freblówek, 80 sklepowych 26 krojczyń, 41 gospodyń, 10 buchalterek, o ile jest to wiadomem. Drugostronnie może tu rzeczywiście brakować pracy poszukującym jej, ale przyczyną jest u jednych brak odpowiedniego wykształcenia w kierunku obranym, u drugich przecenianie wartości pracy swojej i stawianie pracodawcom wymagań wygórowanych. Z drugiej strony przecież nastąpiła nadprodukcja w zawodach pewnych, zwłaszcza nowych; w ostatnich czasach właśnie dwie dentystki wykwalifikowane w fachu swoim przyjęły obowiązki sklepowych.

— Hodowla na handel roślin kwitających stanowi obecnie poważną gałęź produkcji na zbyt, a może się stać gałęzią pracy kobiecej. W końcu marca, lub w początku kwietnia odbędzie się wystawa roślin kwitających w Bagateli, gdzie się przekonać będzie można jak znacznym jest u nas postęp w tym kierunku i wytworzyć by mógł nową gałąź zarobku dla kobiet. Ogrodnicy warszawscy sprowadzają z zagranicy bukieciarki, które obok wyrobionej w tym kierunku zręczności posiadają i smak dobry, którego zapewne nie brakowało by i kobietom naszym, a dodać trzeba, że uzdolniona w zawodzie swoim bukieciarka zarabia od 600 do 1,000 rs. rocznie.

— Dzięki Towarzystwu przeciwbrazczemu, które rozciągnęło szczególną opiekę nad choremi, szukającymi schronienia w przytułkach noclegowych, zostało urządzone między innymi na Pradze staraniem opiekunki, p. Maryi Wrotnowskiej, ambulatoryum z funduszu składowych, dostarczanych głównie przez hr. Raczyńską Różę, które odwiedzają lekarze trzy razy tygodniowo, a w którym od 11-go stycznia do 1-go lutego udzielono porady 123 chorym wewnętrznym i 132 potrzebującym pomocy chirurgicznej, i ileż to biednych, ludzi doznało ulgi w cierpieniach! Drugie takie ambulatoryum ma być wkrótce otwarte w przytułku przy ulicy Czerniakowskiej dzięki innej zacnej pani, ks. Jerzowej Radziwiłłowej.

— W przytułku dla kalek nieuleczalnych pod wezwaniem Ś-go Stanisława Kostki zapisało się na opiekunki pięć pań: Anna Bogusławska, Elżbieta Dzieduszycka, Włodzimierzowa Kretkowska, Klementyna Nepros, Klementyna Zalewska.

— Towarzystwo Pań Ś-go Wincentego a Paulo liczyło w 1895 r. członków 143, a wsparło w ciągu tego czasu 988 rodzin, którym rozdano 149,794 funtów chleba, 7,596 funtów mięsa, 680 pudów mąki,

mleka 168 garncy, 125 funtów cukru, herbaty 18 funtów, grochu worków pięć, kartofli 56 korecy, strucli 400, węgla pudów 2,915, ubrania sztuk 2,591, lekarstw 14,335. Umieszczono dzieci, starców i sług bez miejsca 81. W przytułku czasowym dla dzieci przebywało w ciągu roku 63 sierot, których umieszczono 25. Dochody Towarzystwa przedstawiają 14,565 rs., rozechód wyniósł 14,498 rs., czyli remanent na rok 1896 przedstawił 66 rs.

— Na zgromadzeniu ogólnem członków kasy pożyczkowej dla nauczycielek powołano do zarządu p. p. Waleryą Warnkę na przewodniczącą, Józefę Sawicką na prezesową, na wice-prezesową Jadwigę Gebethnerównę, na kasyerkę Maryą Krzycką, na pomocnicę kasyerki Karolinę Zielińską, na sekretarkę, Lucynę Kanigowską i R. Weintraubównę, na kontrolerki, Felicję Jakubowską i Maryę Kietlińską na pomocnice. Do wydziału weszły: Teresa Cieszkiewiczowa, Irena Karłowiczowa, Jadwiga Chrzęszczywska, Zuzanna Morawska, Paulina Dicksteinowa, Józefa Gebethnerówna, Cecylia Walewska. Pierwotny kapitał kasy wynosił w chwili założenia jej w 1894 r. 1,760 rs., a w dniu 1-y m bieżącego roku liczył już 4,328 rs., do czego przyczyniły się składki członków, ofiary składane, procenta od pożyczek, a wymienić należy, że instytucya powstała z inicjatywy Kasyldy Kulikowskiej. Kasa liczy obecnie członków honorowych czternaście, zwyczajnych siedemdziesiąt dwa.

— Uczennice wyższych szkół krakowskich wniosły petycję do ministerjum oświecenia o pozwolenie im na uczęszczanie do akademii sztuk pięknych. Dyrektor Fałat przyrzekł poprzeć usilnie żądanie.

— W Peszcie i w Klasienburgu kobiety zostały przypuszczone do słuchania wykładów uniwersyteckich, w Wiedniu Tow. lekarskie przyznało kobietom prawo kształcenia się do zawodu medycznego.

— Kobiety angielskie starają się bardzo usilnie wytepić w kraju pijaństwo i w tym celu wygłaszane są w rozmaitych miejscowościach odczyty, w których prelegentki zwracają się do kobiet zamężnych i matek dorosłych synów, aby usiłowały czuwać nad tem. M-rs. Totherigill, stojąca na czele stowarzyszenia kobiecego, które poświęca się pracy w tym kierunku, napisała i wydała książkę nauczającą matki i żony, jak im pod tym względem postępować należy.

— Milionerka amerykańska, miss Culver, ofiarowała już po raz drugi uniwersytetowi w Chicago milion dolarów z celem oddziaływania na moralność, a głównie na wytepienie pijaństwa pomiędzy ludem. W tym czasie także bankier zamieszkały w Chicago, M. Ruckerfeller, złożył dwa miliony w ręce władz amerykańskich na kształcenie kobiet z tą szlachetnie rozumną myślą, aby dostatecznie oświecone, więc rozumnie patrzące na życie, umiały nie tylko dobrze chować dzieci, ale być i żonami, pojmującemi to wielkie znaczenie wpływów domowego ogniska, przez które udoskonala się mężczyzna, oddziaływający wtedy podniosło na rodzinne otoczenie swoje.

Z bieżącej chwili.

— Petersburgskie Wiadomości donoszą, że w jesieni otworzona będzie przy ministerjum komunikacyi komisya specjalna z celem bliższego rozważania kwestyi szybkości wszystkich w ogóle pociągów kolejowych i w szczególności na linii każdej. Dla pociągów kurjerskich szybkość ma być oznaczona na 80 wiorst na godzinę, dla pośpiesznych 65 wiorst, dla osobowych i pocztowych 59, dla osobowo-towarowych 35, dla towarowych 18. Wszystkie linie kolejowe podzielone będą na magistralne i drugorzędne, to jest podjazdowe.

— W ostatnich dniach lutego starego stylu odbyć się ma zjazd przedstawicieli rosyjskich kolei żelaznych.

— Cmentarz Ś-go Wincentego na Brudnie będzie w roku bieżącym całkowicie oparkanionym i obsadzonym drzewami.

— Warszawska kasa pożyczkowa dla rzemieślników, zwana *Mons Pietatis*, założona przez ś. p. Bronisława Skarzyńskiego, udzieliła w ciągu ubiegłego roku 175 pożyczek w sumie 16,000 rs. Instytucja ta, mieszcząca się przy ulicy Książęcej pod Nr. 21., nie działa tak jak by to życzyć sobie należało z powodu niedostatecznego kapitału i grono znacznych filantropów zamierza już stanowczo zorganizować lombard dobroczynny, któryby usuwał na bok lombardy prywatne, pobierające procenta lichwiarskie.

— Kościół mający się wzniesić na Woli będzie w stylu gotyckim o jednej wieży wysokiej na stóp 200 i trzech nawach. Szerokość tej świątyni pańskiej wynosić ma stóp 80, długość stóp 200, obszar jej pomieścić może 4,000 osób. Rozpoczęcie budowy nastąpi w czerwcu.

— Kwestya zakładania szkół zawodowych ma dla nas znaczenie niemałe, bo cudzoziemcy zajmują miejsca, które ze względu na brak pracy dla potrzebujących jej, nie powinny im być oddawane, na co zwrócili obecnie uwagę wykształceni rzemieślnicy, postanawiając zapobiedz temu przez pewną reformę naszych niedzielnych szkół rzemieślniczo-niedzielnych. Obok uczęszczania terminatorów na lekcyje niedzielne, dające wykształcenie elementarne, należy urządzać dla nich trzy razy na tydzień kursa mieszane z wykładem teorii rzemiosł i naukę rysunku, potrzebną w każdej prawie gałęzi rzemiosła. Kursy wieczorne powinny zapoznać terminatorów z jakością i wartością materiału, z którego powstają ich wyroby i obok szkolnictwa elementarnego zastąpić im brak szkół profesjonalnych. Opracowany już w tym przedmiocie memoriał ma być wkrótce przedstawiony władzy.

— Gabinet zoologiczny, mieszczący się w gmachu uniwersyteckim, został otwarty dla publiczności po dość długiej przerwie, spowodowanej restauracją sal i budową galeryi, ciągnących się do koła sali głównej, a mieszczących szafy zawierające okazy ptactwa i płazów. Okazały jest zbiór owadów, skorupiaków, pomieszczonych w szafach ustawionych na schodach i w przedsionku; dział ornitologiczny pomnożył się znacznie nowymi okazami krajowymi i zagranicznymi natury martwej i wzrok widza spotyka tu na przykład bociany na dachach chat, kuropatwy w zbożu i t. d. Przystęp do gabinetu będzie miał miejsce dla publiczności we czwartek od 12-iej do 3-ciej po południu i w niedzielę od godziny 11-tej z rana do 3-ciej po południu.

— Na ostatniem zgromadzeniu miesięcznem Towarzystwa ogrodniczego zebrało się 150 członków, którym zarząd objawił, iż w roku bieżącym na jesieni zamierzoną jest wystawa ogrodnicza w Radomiu, zapewniając, że koszta wystawy pokryje dochód z biletów wejścia, a resursa radomska ofiaruje bezpłatnie salę i ogródek, przyczem dodano, że przy urządzeniu konkursu uwzględnione będą okazy księży plebanów i nauczycieli wiejskich. P. Józef Kaczyński przedstawił wniosek, aby Towarzystwo zakładało szkółki owocowe z celem rozdawania sześcópów i drzewek włościanom, na urządzenie czego Towarzystwo może oddać w Bagateli 1,600 łokci kwadratowych ziemi, co pozwoli aby 500 do 600 drzewek mogło być corocznie rozdawanych. P. Klemensowa Paprocka posiada dożywocie na włościach Potyce i Marynin, zapisanych Towarzystwu i ozwały się głosy, aby ją prosić o pół włoki ziemi pod te szkółki, ale zarząd nie przystał na to. Redakcja „Ogrodnika Polskiego“ zażądała za pośrednictwem p. Józefa Kaczyńskiego, aby rozwiązano umowę w skutek, której Towarzystwo wydaje 3,000 rs., na rozsyłanie członkom pisma, co przecież nie zostało przyjętem.

— Wystawa nasion urządzona w gmachu Muzeum, a ósma z rzędu, nie dorównała poprzednim tak co do ilości okazów, jak i doboru ich. W dziale nasion znalazło się zaledwie 28 wystawców, a 20 dostawiło rozmaite ogrodowizny jak włoszczyznę suszoną, przetwory z owoców i jarzyn, nalewki, a obok tego przedmioty bynajmniej w zakres tego rodzaju wystawy nie wchodzące.

— Podniesionym został projekt zawiązania w Warszawie syndykatu rolniczego, instytucji pośredniczącej w nabywaniu i sprzedaży produktów wiejskich bez żadnego zamiaru otrzymywania ztąd korzyści osobistych. Referent warszawskiej sekcji rolnej, p. Stanisław Chełchowski, wykazując potrzebę instytucji pośredniczącej w sprzedaży produktów gospodarstwa wiejskiego, co i dla gospodyń miejskich miało by znaczenie niemałe, otrzymując po cenach stałych przedmioty spożywcze w gatunkach wyborowych. Opracowaniem ustawy syndykatu zajmuje się delegacja złożona z p. p. Dzierzbickiego, Górskiego, Gosiewskiego, St. Łubińskiego, Przanowskiego, Kowalskiego, Wyganowskiego i Jurskiego.

— Dom zarobkowy w Lublinie przedstawił tamtejszemu Tow. Dobroczynności żądanie, aby przy-

garnęło zakład ten pod opiekę swoją, co zostało przychylnie przyjęte z zastrzeżeniem, które by świadczyło o odrębności każdej z tych instytucji. Dom zarobkowy posiada zaledwie dziesięciu stałych robotników, zajmujących się wyrobem powrozów i słomianek, których znaczny zapas jest na składzie, a zarząd zamierza sprowadzić z zagranicy kilka małych warsztatów tkackich kobiecych do wyrobu fartuchów i materyałów na wełniaki dla kobiet.

— W Krakowie odbył się w sali hotelu Saskiego koncert na dochód Tow. pań Ś-go Wincentego, a Paulo. Między innemi orkiestra wykonywała wybornie suitę tańców polskich Władysława Zelenkiego.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 2 powieści p. t. **Walka serca**, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego.

Wyszło z druku

DZIEŁO PREMLOWANE NA KONKURSIE ogłoszonym
przez wydawcę BLUSZCZU, pod tytułem:

Wychowanie Macierzyńskie,

przez ZOFIĘ KOWERSKĄ.

WYDANIE NOWE POMNOŻONE

Dzieło to zyskało sobie ogólne uznanie, jako przewodnik dla matek i ojców, w kierowaniu tak umysłowem jak i fizycznym wychowaniu dzieci.

Cena egzemplarza rs. 2, z przesyłką pocztą rs. 2 kopiejek 30.

Publiczność nasza w tej książce zyskuje cenny nabytek, wspomagając mogącą kobietę w najważniejszych zadaniach jej życia.

Do nabycia w Redakcyi Bluszcza i we wszystkich księgarniach.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Halina. (Fragment z poematu p. t. „Góral“), przez Selima. — Henryk Pestalozzi, przez M. I. (dokończenie). — Kędy droga. Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Miron jako prozaik, przez Wiktora Gomulickiego. — Biegun południowy. — Działalność Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Walka serca, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład z niemieckiego, ark. 2. — Przegląd mód. 17 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.